



Krzysztof Kamil
Baczyński

W ŻALU
NAJCZYSTSZYM

- Kultura i Sztuka -
EXERIM.pl

Krzysztof Kamil Baczyński



W żalu najczystszym

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki Exerim.pl.
Zdjęcie na okładkę: Justyna Diablica.

Exerim 2017
0004-I | 2017-4 | V-PDF



Mojej ukochanej Basieńce
w dniu naszego ślubu
Krzysztof.
dn. 3/VI/1942r.

Motto

*"Pieśń twa – nie skona z niedokończoności –
Jeżeli anielstwo jej wyżywić zdołasz".*

C. K. Norwid.

Wyroki

Nic gruzy. Dwułodygą wyrośnięm,
dwugłosem zielonym światła
podobni chmurom i sośnie,
kwiatom płynącym na tratwach,
gdy rzeka wilgocią śliska
jest tonem świata — kołyska.

Nic ciemność. Przez nią przepłynięm,
a ręce na niej — promień
w błogosławionym czynie,
w żyjącym gromie,
bo i z krzemienia się śpiewa
wieczność rosnąca — drzewa.

Nic gruzy. Ale ująć
powietrze: tam formy rosna
z guseł i zakłęb, — kołując —
coraz to bliższe. Mocno
w ręce spadają — nieznanne,
czasem — niedokonane.

I tak się trzeba im zaprzeć
w ziemię i wiatr, w świetlistość,
by deszczem pocisków lecąc
opadły w dłonie — czysto.
A w ich ulewie rosnać
ptakiem, człowiekiem i sosną.



Bohater

*"Zato i rycerz nie lada gwałtownik
lecz ów co czeka"*

C. K. Norwid

On w wielości stoi pośród rzeczy,
które rosną w potwornej przemianie,
pośród roślin przezroczystych mieczy,
pośród zwierząt, ludzi, a poznanie
będzie obce mu, by trudniej było
wielość formy połączyć w miłość.

Więc się mienić będą i brunatnieć
w złotych formach dojrzałe oczy,
to obłoki będą dnem się toczyć
dnem tych spojrzeń, by nie było łatwiej
snów od ludzi, kamieni od rąk
porozróżniać, a gradu od trąb.

A ten, który przeciw niemy zawoła
o swej sile i wstrząśnie owadem
wszechmałości — przedzie w apostoła
przemartwiały swej słabości jadem.
I ze strachu potęgę głoszący
w pięści zmienić chce gwiazdy i słońce.

On w wielości stoi. Wśród kaskady
tryskającej mleczem i tonami,
a nie spadnie, choć poryty gradem

i nie wiedząc, gdzie koniec — nie skłamię.
Ani w bojach zjednoczy się w ogień,
ani w ludziach nie przystanie — z trwogi.

I nie wiedząc — choć otchłań zobaczy
i nie wierząc w wiarę, która depcze
czuciem światła łącząc przez powietrze
tak gwiazdami i łzami zapłacze.
Ręce prosto kładąc w tęczę tonu
sklepi ziemię z niebem nakształt domu.
Będzie człowiek w ludziach, zieleń w ziemi
nad wiekami trwający ciemnymi.



Człowiek

Jak żuk powoli nie patrząc dokoła
w twardym pancerzu on! rycerz z chityny
idzie, gdzie anioł woła, jeśli jeszcze woła,
idzie w żadnym zwycięstwie nie znajdując winy,
idzie, a łamiąc gałąź ku anioła chwale
na ołtarz, nie postrzega, że skrzydło odłamał,
a nawet rękę boską i karzący palec
i że jak ruchem kłamie tak ofiarą skłamał.

A ręce ma — płomienie, co jak grom pragnienia
stoją przy każdym czynie nakształt tego cienia,
co o południu wyprzedza nas znacząc
nas przed nami, — tak siebie poprzedza rozpaczą
i gdzie już stąpnie lament przed nim jego dłonią
zczyniony i już rany pożogą się płonią.

*

Ale ciąży ten pancerz, a gdy już u szczytu,
depcąc, ślepy na kroki, stanie mąż z granitu,
kiedy święty się stanie — to tym, że nie patrzył
i sam był Bogu, a krzywdzie nie znaczył
ponad płomień ogniska co stopy ogrzeje,
ale nie stopom — sobie — duchem płomienieje.

*

Ale ciąży ten pancerz, bo jeśli w gwar stąpi,
w miast bekowiska parne i krzyże cmentarne,
jeśli z krzywdą się zejdzie i w krzywdę zestąpi,
by najświatlejsze ręce — z ognia wyjmie czarne.
i przez to nieobjęcie głazu co przywalił

jak popiół będzie. Krzywdą pójdzie dalej.
Bo współczuć znaczy stać się czuciem społem z owym
cierpiącym. Kto pojmie każde słowo – słowem,
serce – sercem – z cierpieniem nienawiść też weźmie,
a zbrodnię mało w człoku – ujrzy nawet w gwieździe.
I będzie sędzią choć rzeknie: kto sądzić
prawo ma jeśli morzem ciemnym ślepy błądzi.
i krzywdę da – za krzywdę dłoń wznosząc. Nie wróci
do ludzkości, gdy pójdzie każdą trwogą ludzi.

*

I może pozna nawet. Cóż pozna, gdy szklanym
kloszem jakby zamknięty, w kloszu zadumany
będzie jak mucha złota szybie nieprzebytej
tworzył elipsy lotu i mydlane mity,
mydlane, bo jak bańki o szkło prysną tęczę
i spadną jak splunięcie, nawet nie zadźwięczą,
nawet tonem nie wzejdą, kiedy za powałą
tysiąc pieśni na znak ten jeszcze będzie mało.
Cóż pozna, gdy ze stropu przez szkło jeden padnie
promień nieprzenikalny. Ani go odgadnie,
ani zobaczy nawet, aż na z prochu – wstanie
czas przyjdzie, jak muzyka czas – w nim rozpoznanie.

Rycerz

W noc zjeżoną kwiatami martwego powietrza
nie nasłuchuj, nie jadą rycerze
w zbrojach blasku, w kaskach na wietrze
roziewających kity płomieni, a miecze
obronie słabych — tylko w pochwach rdzawych,
albo zalane płaszczyznami śniegu,
albo jak gwiazdy pogubione w biegu.

Witaj, a nie płacz mi. Ja zawsze senny,
w nocy skrojony na kształt owych dawnych
idę w pochodach, w cieniach jak sam ciemnych
i nigdy znaleziony, nigdy wiarą sławny,
a tylko ręce wspieram o ten słup z przestrzeni —
— Gram. Jestem rycerz — Boga zamyślenie.

Ach lądy jak pióropusz dymu ogień wzbija.
Mijam morza rozległe jak błyszczące ryby.
Gwiazdy spadają w ciszę. Psy przed domem wyją
i złote deszcze iskier — jak żuki o szyby.
I czegoż ja dostanę, czegoż pragnę jeszcze
zamarzły w lodem martwą, niebieskawą przestrzeń.

A szukają i złota i chleba, szukają,
choć jak krety korzeni, które w słońcu rosną
kwiatami, czy rudawą o zachodzie sosną
i zawsze kopiąc tak — nad ziemię niedostają
i podkopując tak — są złej planety jękiem
pod tym pułapem, co jest światła dźwiękiem.

Ja, wierząc tak w umarłych żywym obcowanie
i poznając — do krzywdy przykładam miecz rdzawy,
który jest krzywdzie miłość — rozpoznanie
i jest jak pod stopami szatana kłos trawy;
a choć znam płomień zakłęć jak piorun wśród ciszy
nie zawołam — w mórz szumie nikt go nie usłyszysz.

I tak przez ciało czekam, choć ognia potopy
niby wojsk krwawych skrzydła ciągną czarnym stropem.
I jestem. Czym ja jestem? Wierzący przez małość —
— rycerz gór zapomnianych — w zmartwychwstałe ciało.



Wolność

Przebudź się – jesteś wolny,
choćbyś jak w ziemi duch
szedł dołem dookolny,
przebudź się, jesteś wolny
zbudź tylko słuch.

Otworzysz bramy gwarne
i łuki triumfalne
muzyki, która w chmury
trwa dymami pożarów
zdołu do góry.

Otwórz oczy to jesteś
tryskający powietrzem
zdrój żywy.
Żeś przez ciało przykuty
i żeś ciała upływem
żyj w wietrze.

Albo cheruba nazwij
i uczyń mocom nazwy
i uczyń z niedojrzanych
wrzące sokiem obrazy
i rzeknij: niech się stanę
w nich, albo: niech się staną.
Wtedyś lękom wygnany,
burzom cichym przyjaciel
w snów srebrnym majestacie.

A jeśli nie uwierzysz,
żeś wolny, bo cię skuto
będziesz się krokiem mierzył
i będziesz ludzkie dłuto
i będziesz w dłoń ujęty
przez czas, przez czas — przeklęty.

Bo tym co w nim przystają
otworzy chwilę, zgasi
i nim sen rozpoznają
i nim opłaczają ciało
przykuci martwą chwałą
miną. Zostanie wolny
tworzeniem dookolny.



Wizerunek

Stać nieruchomy u gruzów
tak usta zaciskać skrzepłe,
i oczu otworzyć, ni zamknąć,
gdy szyby drgające ciepła
płyną mijając czas.

Stać jak pomnik, jak lew,
który w kamieniu zamknięty
ramiona przybite snem
na niebie prostuje napróżno.

I pył osiada zwolna
jak futro szare powietrza
nawet powiekom nakłada
kaptury czarnych kwiatów.

Stoisz u okna. Za oknem
armaty dudniąc jadą
i w śmierci otwartym okiem
mierzysz jak będą głębokie
otchłanie wdół.

Jak sięgnąć — step wypalony.

Trawy szerniałe mówią
o tych pochodach i mówią,
że w tryskającym powietrzu
jest wypukłość i głębia
i lot przywiązany gołębia
i wolny jaskótek lot.

Wiesz, że cię tak postawiono,
aby już szły bez końca
przez ciebie czarne pochody

spalonych jak węgiel ciał.
I wiesz i po głosie umiesz
twarze spalone zrozumieć
choć ani ust, ani oczu,
ni ciała spoczynienia nocą,
ani rozprysły dom.

Takim różańcem, gdzie głowy
są paciorkami modlitw,
a krzyżem – krzyże nad grobem
głazem, czekaniem się modlisz
nad dniem nieostatnim snu.

I wtedy zieleń poczyna
w małych pręcikach traw;
widzisz jak mrówcze ziarna
sypią grobowiec, czy dom.
O! Wtedy jesteś znów człowiek
po śmierć zaprzędany snom,
po śmierć pod kopułą powiek
wznoszący na gruzach dom.

Rapsod o klęsce

Mija godzina, która nie na tarczy.
Ciało zmienia się w popiół, a wzrok w ołów.
Łez na powstanie z martwych nie starczy: —
poznanie — koło.

To tylko ziemia gaśnie — kula pusta,
na której Bóg rozdzielony tysiącem szatanów chodzi —
— tysiącem ludzi. Zieją kamienne lustra,
barwa nie rodzi.

To z wysokości, czy z grobu widziana
urna spełnienia jest wzgórzem skorup.
O drzewo! drzewo! czyś tylko trumną
pod ruchów korą?

Tak się w pogardzie odosobniony
przestaje czuwać w śnie i godzinie.
Jeszcze ton przejdzie — nie będąc tonem —
przechodząc — minie.

Jeszcze łodygi zielone co w tobie
jak kolumnady pułapu rosły
są u zsiniałych mórz po potopie
strzaskanym wiosłem.

Jeszcze łzy schodząc staną się gromem
co serc naczyniom grającym tobie
rozbiją obraz. Nigdy zielone,

nigdy na grobie.

I nad żyjącym żadna przyczyna
i żaden koniec. Popiół i droga,
bo głosy klątwy w pogardzie wszczęte
nie głosem Boga.

O drzewo! drzewo! Mija godzina,
a czas jej wiekiem.
Drzewo przeklęte w nieznanym winach
jakżeś człowiekiem?



* * *

Powieko nieruchoma, ty nieodsłonięte
niebo unosisz w sobie, może lej co ziele,
i w którym gwiazdy są osypem próchna,
pod którym ptaki są martwe nadzieje.
Czym jest wierzyć wiszącym u bramy, gdzie ruchy
są uczynione jak w kamiennym duchu
z poza wrót jaśniejącym. Duch mówi: spełnienie,
a nim poznają już będą kamieniem.

*

Aleje chłodne, gdzie wśród żaru zgliszcz
purpurowo barwione posągi czekają,
a przechodzący przed nimi przystając
i patrząc zamieniają ręce swoje w krzyż,
a wzrok w ten żar co gaśnie, w płomień niewyjaśnień
i z drzewa wiadomości oderwany liść.

Trwogo, ty mnie tam nie zatrzymuj, nie wiedz,
gdzie z odblasku powstają zjawiska na niebie,
gdzie duchy mają twarze jak ludzkie i skrzydła,
i gdzie konie serafów spętane w wędzidła
mają tętent. W tym trwaniu tak się nie odbija
głos o czyny. Bo tętnić to znaczy zabijać,
bo strącać z rajów — znaczy mieczem,
a dać dwoistość znaczeń — to dać czyn zaprzeczeń.

*

Wieki ileż was jeszcze i ile poza mną
spadających jak deszcze ogniste, lub szaty
i mianujące siebie dopełnienia światem,
kiedy narcyz w jeziorze znajdując kształt własny

jest — przez kształt rozwiązany — od was bardziej jasny.
A wy u nieba trwając, odbijając w niebie
ruch swój ustokrotniony, który kształty grzebie
wieki! ja was widziałem i to co nad wami
jak wołające w zgiełku wyciągało ramię,
i które trwa, a krzykiem kiedy słuch przebudzi
wstaje człowiek i rzeźbi w martwym ciele ludzi.

*

Stają się, przemieniają, otwierają nieba.
Niedostrzegalne gromy uczyniły z burzy
widowisko samotne, podobne do róży,
której płatki spadają jak nieboskłon czasu
i są przez niestawanie się — nakształt obrazów;
i są przez niestawanie się nad strop błyskawic
łzami szukania i niewiary łzami.



Pieśń o ciemności

Sny leżą na mnie warując milczenia
jak lwy z pomników co warują śmierci
i liść opada czasem, śnieg, albo i obłok,
albo ptaków pióropusz wzbija się i przejdzie.
I niebo stoi. Wtedy mam podobną
twarz do nieba; choć cienia niema w niej, ni żalu
słyszę jak się sodomy w cichym trzasku palą.
O nie sędzią ja czekam. Dzień płonie jak listek
na płytę pieca opadły i zwija
sieć żyłek delikatną, a z nim giną wszystkie
chwile nerwem łączone. Noc i dzień przemija.
I w katakumbach czasu od sklepień odbija
głos, może napomnienie, może bitwa walna —
— wszystko nierozróżnione i rozdarte wszystko.
I noc przechodzi górą jak śmierć — triumfalna
i spływa obraz do mórz wrzących pysków.

W huku werbli, w burz wrzawie, w łoskocie pokoleń
idą chłopcy o oczach z największych przeznaczeń,
idą, aż zadaleko przechodzą — do ziemi,
idą, kiedy za nimi i świt nie zapłacze
mlekiem błękitnym. I tak stygną z nimi
i przechodzą żelazem — karty czarnej ziemi.

A tyle rzeczy czeka jak z pod dłoni — nowych
na nadawanie imion. Jak zwierzęta stoją,
tak smutnieją mijane i schylają głowy,
aby przeżuwać zapomnienia zmierzch.

O zatrzymać! Płacz milknie. Znów przywala grób,
znów sen się kładzie głazem warczący jak lew
i niebo jak kolumna. Stygnie w urnach krew,
a burza ciężko pełźnie nad doliną.

Noc. Po nocy powstają upiory i w ciała
wchodzą, aby truć oczy i zmieniać je w popiół,
aby smutnym dziewczynkom twarz jak orzech gnieść
i słuchać w płaczu cichym zwycięstwa i śmiechu
swojej dawnej postaci jak uschnięty badył
natchnionej trupem, lub serc wodospadem,
który się w ciemność toczy. Znowu dym spowija
i snem przybity, leżąc umieram. Wiek mija.

O zatrzymać! Milczenie. Widzę jeszcze ludy
i naród pod kopułą, gdzie szalone wozy
wypruwają z obłoków deszcze krwawych nożyc.

I pada mór i ludzie wyptosiszeni
do bram łomoczą, a bramy z kamieni.
Więc przypadają do stóp drżącej ziemi,
a ta otwiera paszcze, całuje i wchłania
i niebo drga, nie woła żaden głos.

Milczenie. Sny ziewają. Puszcze płyną górą
i leżą tak, a w dłoniach kolumny z marmuru
wbite warują ciszy. Nie przychodzi śmierć
i tylko niebo błyszczący oparte o pierś,

a ciało jeszcze raz zmienia się w sypki popiół.



Wielkanoc

Sklepienie — chwila — a niebo rozsadzi
jest jak pierś w górach coraz szersze niosąc
strumień biały, rzucony jak ogień z powały,
który jest słońca promieniem i głosem,
a w nim gołębie krążą znacząc ślady lotu
i jak pył w świetle cichym zmieniają się w złoto.

Takich świątyń gotyku jest w powietrzu wtedy
jak lśniących bąków, które krążą zbliska
unoszących spalone wiekami szkielety
i spokojnych, wyniosłych jak nieba kołyska
na ziemi, gdzie pielgrzymem jest na placach ludnych
każde drzewo, a świętym każdy człowiek smutny.

Ten czas jak w chwilę grozy przemieni się? Znacząc
coś ponad ludzkie zgliszcza i twarze co w głodzie
mają pozór stłuczonych kryształów i płaczą
i jeszcze płaszcz gwardyjski z fantazją uniosą
i jeszcze łzy — kryształem, a krew nazwą rosą
i jeszcze wzniosą ramię i nazwą kościoły,
choć im się zdają jakby z róż napoły
z krzyżami budowane. O ty kraju! w tobie
ja znam zawiele oczu które się dopalą
nim w nich ogień poznają, gdy proch stoczy w grobie
i zbyt wiele znam świątyń, które się rozwalą
nim im świętość przydadzą jak Koronę królom.
O ty kraju! ja jestem bólem twoim bólem
i krwią, krwi twojej białej — pszenicy łanowej
i krwi twej purpurowej, co jest w twojej mowie.

Więc znów ten czas powraca, a co z nim co? Gdy ziemia
huczy w nim nakształt miecza i nakształt płomienia
jak z michałowych mieczów liść spadły jak z drzewa,
który na ziemię lecąc — pali, nie ogrzewa.
i wygania raz drugi jak wtedy z bram raję.

Tak nam przemienia ziemię i serca w tym kraju,
w którym wszystko zmienione na popiół — wytrzyma
i będzie jak czuwanie skutego olbrzyma
i będzie gdy zawoła czas i znów dorosną,
nowe w czerwień jak w zieleń drzewo każde wiosną.

Więc zawirują kształty najczystszych przeznaczeń,
które staną się światłem chociaż są rozpaczą,
które wzniosą się z trwogi, bo w trwodze się staną
jedną z tych pięciu — odkupienia raną,
jedną z tych pięciu — co głowami płaczą
jedną z tych pięciu — tą w serce zadaną.

I kto jest człowiek tylko i cierpiał w tej ziemi
będzie skuty z jej śmiercią i jej przebudzeniem
i choćby w niej umierał jak nędzarz — to zbudzi
po cierpieniu, w powstaniu — powstawanie ludzi
i sam jak człowiek wszędzie i sam krew przebaczy,
bo wie co znaczy skonać i cierpieć co znaczy.

I niech się święci w świetle wirowanie pyłu
i niech się święci ten dzień co jest miłość,
ten dzień co niósł na sobie przez trumny i ruchy
złożenie w grobie ciałem, a wstawanie duchem.

W żalu najczystszym

O dziecko smutne, o ty zagubiony
w żalu najczystszym za wrót niedomknięciem,
którędyby duch przewiał natchnionym cyklonem
i wiarę święcił.

Ty, gdzie odjeżdżasz, coś aniołów widział
w ludziach znużonych co szli nad strumieniem
i już odbicia ich ujrzałeś światłem,
gdy były cieniem.

Gdzie chciałeś wyczuć pod dłonią kształt lawy,
któraby w gemmy zastygała zwycięstw?
Czy gdzie się bunt nie z ognia, a z małości stawał,
a z pieśni – wyciem?

Czy gdzie się wolność stawała skuwaniem
w imię powstałych, którzy kładli nowe
kajdany, a znużeni nad wiarą czuwaniem
spadli jak głowy.

Czyś ty nie widział, że w słabości wokół
nikt nie dopatrzył do końca przeznaczeń
i że zamały, by stanąć na cokół
wojownik płacze?

A wiesz, że mędrców i magów spełnienia
to niebo było czynione przez człeka,
by trwał dla celu, szedł jak idzie cieniem,

czekał jak czeka.

I wiesz co miłość – jeśli tylko sobie
co znaczy przemoc jeśli tylko zemstą
za krzywdy, których nie wydrze i spowiedź,
aż staną klęską.

O dziecko smutne, ty niedopełnione
człowiekiem – jakby niespełnione życiem.
Cóż to rzeźbienie jeśli tylko w marmur
marmuru ryciem?

Cóż to pod snami jak pod palcem czułym
znajdziesz, gdyś człowiek przez ciało i ruchy,
kiedy cię smutkiem w kamieniu wykuły
najczystsze duchy.

Nie płacz i pojmij prawo, które mija
i pojmij sen, a tając pojmowanie uczyn
żywy grom w głazie jak ręka niczyja,
co żyjąc – uczy.

* * *

O miasto, miasto — Jeruzalem żalu,
gdzie wsparte o kolumny — każde drzewo krzyżem
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,
który jak płomień niewidzialny liże
stopy zwycięzców i tych którzy leżąc
pod płytą blasku — w cień blasku nie wierzą.

Miasto niewiary. Czym ty jesteś stojąc
we wszystkich ziemiach, w ognisku i w boju,
czymże ty jesteś i co niesiesz w sobie,
że jesteś na człowieku jak wieniec na grobie,
i rodzisz tylko bezgłowe kamienie
i sen, gdzie nie śniąc
nieodwalone jesteś gromów brzemię
i martwą pieśnią.

Sen, sen upiorów, gdzie na kwiatkach leżą
ludzie ciosem znużenia padli przed wieczerzą,
ludzie u stołów pańskich siadający, którzy
szable splatają w dole, a kwiaty na górze.
Nic nie widzący, w nikogo wpatrzeni,
wielcy na krzywdę ludzką, mali na cierpienie.
Upadający — przez ciało chcąc stanąć
i żagwią wznieść pomniki, żagwią umaczaną
w ciałach tych co nie wierząc — nie wiedzą i proszą
i których tylko potem anioły podnoszą
jak liść jesienny w baśni i prostując bożą
ręką — tak ukołyszają, aż w Bogu odtworzą.
A ci jak huragany wszczęte wianiem płaszczą

są – choć przez grozę silni – gdzie armaty paszcza,
gdzie dłoni uderzenie i tak są zwycięscy
w chwili zbrodni – na wieczność odtworzeni w klęsce.

O wielcy, których siłę nazywają słabość,
bo śpi w nich jak pomruki lawiny i czeka
na czas wiary, na zamię, na grom i człowieka,
na burzę planet, na rzeczy nazwanie.

A że z nich tworzą trumny co w ziemi zwyciężą
są zwani słabość, że nie ma oręża
że nie ma na zwaliskach kwitnącego sioła
że nie rozdepczą małych, bo światło anioła
jest nie przeciw małości, ale obok – znacząc:
wielkość – ciał przerastaniem, nie małych rozpaczą.



Martwa pieśń

Martwa pieśń przyjaciele, bo gdzie rąk zabrakło
tam i pieśni nie staje, a żaglom, ni tratwom
nie płynąć tam, nie śpiewać młodzieńcom, a starcom
być czymś więcej niż tymi co znając już — gardzą
popiołem, bo tym łatwo pogardzać, a zdobyć
wstawanie nowym drzewem najłatwiej za grobem.

I któż z was stanie tak sam, bez przyczyny
ponad miłość i proste wyznawanie winy,
ponad tę jeszcze, że tworzyć ci dano
i że przez dzieło twoje — sny zmartwychpowstaną.
I cóż? żeście tak słabi, żeście tylko mali
przez ciała — bryły martwe — to stąd tak zuchwali,
że ciało jest wam bogiem, bo zbyt jest oporem,
aby je wolą zrąbać jak kamień toporem.
Bo ciało jest jak zwierzę nieświadome czynu,
gdy je po grzechu gładzić, to wyrasta winą,
to się pnie na kolumny i pochłania ducha
i potem już jest wolne i steru nie słucha
i nie boi się czynu żadnego. Za czyny
tylko duch pokutuje krzyżem własnej winy,
a tam już duchów niema.

O żalu, o trwogo
jakaś ty jest — składana nagim z głazu bogom,
jakaś ty jest — składana na kopce, gdzie nawet
grób tak jest łzami gorzki, że nie wzrośnie trawą.

A sen wieczny upiory zabitych unosi,
których — krzyżów ognistych — i krzyż nie uprosi
i płacz wzniesiony późno nie przywróci bieli
i nie zetrze znamienia z śmiertelnej pościeli.

Martwa pieśń przyjaciele jeśli wam nie unieść
ruchu w prawd uczuwanie, nie zobaczyć w łunie
turkusowych posągów i najśmielszych marzeń,
jeśli wam tylko droga, gdzie zgniecione twarze
pod kołami rozpękle są jak prochy czynu,
a ogień żądź odwiecznych — koroną wawrzynu.

Jeśli kto jeszcze wierzy w stawanie się czasem,
jeśli kto jeszcze ceni człowieka nad głazem
o niech przez wiarę swoją otworzy przemianę
w spętanie, nie pochwałę zbrodni, niech się stanie
jak mistrz co siłę gromu zaklina w kształt żywy,
bo jeśli wiary zbraknie — kto wstanie szczęśliwy,
bo jeśli wiary zbraknie w odwrócenie ruchu
martwa pieśń przyjaciele — grobowcem na duchu,
martwy sen przyjaciele pod kolumną blasku
i popiołu wracanie popiołem — do piasku.

Rorate coeli

Spuście rosę niebios, duchy nieobjęte
i sztaby blasku białe, zwiastujące pieśni,
żeby co żyje — życiem nie było przeklęte
i stało się jak światło w ciele — nie cielesne.

Spuście rosę niebios, fale mórz złotawe
i szczerłość oczu, która jak zwierzęca — czysta,
a jeśli dzień — niech rośnie jak kolumny trawa,
a jeśli noc — niech będzie już noc wiekuista.

Spuście rosę niebios, rozróżnienie czynów,
i krople takie jasne, by koroną było,
to co jest nazywane za potęgę — miłość
i przez niedopełnianie pozostaje winą.

Spuście rosę niebios, — kręgi żywe światła
na głowy pochylone, by to co jest mądrość
nie odchyłało nadół jak po płatku płatek
ludzi do głuchych studni i pożogi łądów.

Spuście rosę niebios, aby elementy,
które są ku świętości uczyniły świętym
i podsycane duchów płomieniem powstały
jak łodygi wzrastania i owoce chwały,
a opadając liśćmi zwycięstwa jak złoto
lot uczyniły dla nas, albo nas dla lotu.



Ojczyzna

O miasta wdole tam, gdzie pułap dymu leży,
o rzeki wdole tam, o wsi jak białe stogi,
gdzie maszyn ruch i gdzie ociera złote rogi
w odbiciu szybkich rzek zielony jeleń chmur.

Obłoki górą płyną, obłoki są jednakie
jak ścigający korab, albo odbicie fal,
które mijają sen i są jak ludziom ptaki
nad ogień i nad stal.

I w moim kraju one jak indziej niosą szept
i w moim kraju one jakby przez obcą dłoń
niesione — tworzą obraz, który samotny rzeźbiarz
układa mimo szumu, albo pogłosu trąb.

A w dole jest ojczyzna — to co się nie nazywa,
to co jest przypomnieniem najdalszych, cichych lat
i to co w oku łza, przez którą widać świat
i to co w sercu sen i nawałnice rąk.

O dajcie, dajcie ręce, niech w drzeniu poznam świat
co wzrastał i aniołem pozostał pod powieką.

Ojczyzna moja tam, tam jest i tak daleka
jak jest podana dłoń człowieka dla człowieka.

Ojczyzna moja tam, gdzie zboża niosą wiatr,
i gdzie zielony krąg zamyka pierścień Tatr
i gdzie jak posąg złoty morze wygina łuk
i człowiek, gdy z człowieka przemawia żywy Bóg.

Ojczyzna moja tam jak łańcuch martwych ciał
i leży na niej głaz z pod niego zieleń tryska.

O ziemio tyś jest obraz ciosany z krwawych skał,
ty jesteś duchom grób i duchom jak kołyska.

Kto ciałem — temu kat obcina głowy taran,

кто духом — тому кат не зетние глѳов пѳомienia,
bo gdzie się kończy zbrodnia, tam się zaczyna kara
i tam zaczyna niebo, gdzie się kończy ziemia.



Młot

Czuję Twój młot przejrzysty — Panie,
który mnie kruszy z nocy w noc
i wiem: gdy skruszy — zmartwychwstanie
niebieski klon.

Jesteś jak mistrz-rzemieślnik, który
wykuwa tam, gdzie widzi formy
i zetnie tam, gdzie gład oporny,
a żywy wzniesie w górę.

I widzę kościół wszechstworzenia:
gotycki łuk po łuku wznosisz
w powietrzu kując kształty przemian
i słup wielości.

Widzę dojrzałe już i pełne
ptaki i drzewa syte dłuta,
a ja — czy jestem w nieśmiertelność
ból i pokuta?

A ja, czy zawsze niedojrzały,
abym ja — ognia pełen dzban
tak pod Twym młotem stał się trwały
jak zasklepienie niebem ran?

I pada młot Twój ostateczny,
aż ciało stanie ziemi — puch,
a ja — czym taki posąg — duch,

że mi przez ból – być posąg wieczny?



Samotność

O nie jestem człowiekiem, huczy noc nade mną.
Płomień mój jak anioły odchodzące w ciemność.
Ogromne, całe w blasku sine piętna czasu
jak odrzucone w wieczność pokolenia głazów.
O! nie jestem człowiekiem. Koła nieboskłonów
trzeszcząc suną przeze mnie ziemią ocaloną.
Ocaloną? czas taki; tak dawno. Już nie wiem,
już nie pomnę kto ziemię tak odcisnął w niebie.
Wiem tylko, że jestem zgubiony. O ten czas bez ludzi,
to bez twarzy zwierciadło, które z wolna studzi
jakieś płomienie mroczne, kształty w sobie zbiera
i ja w nim bez odbicia i ja w nim umieram.
O dajcie mi spojrzenie, przywróćcie choć przyśpiew
żuków w lwiej paszczy, choć do oczu liście
mi przyłóżcie, bym poznał jeden nerw nie ciemny
i jeden kolor żywy i nienadaremny.
Niema ludzi. To tylko tragiczność tak krzepnie
w pomniki fantastyczne rosnące beze mnie
i poza mną rosnące. Wzrok ich jak zasłona
i za grzech pierworodny odjęte ramiona.
O! Daj mi ten grzech poznać! Nikt na mnie nie woła.
O daj mi choć szatana poznać, lub mi daj anioła,
o wróć mi czyn przedwieczny, lub milczenie wróć mi,
abym człowiekiem chodził między tymi ludźmi,
których pamiętam jeszcze i których widziałem
w widzeniu ostatecznym. Niech się staną ciałem.
A ja spośród ciemności widzę tych co niosą
swoje stopy przez ogień i przechodzą boso
po tych zgliszczach pożogi, którą sami wznieśli

i której na ramionach wątlých nie unieśli.
A ja spośród ciemności tych widzę co bluźnią,
bo na zmartwychpowstanie przybyli zapóźno
i tych co ściągwszy serce czyjeś jak kwiat ciszy
płaczą z ognistej studni, gdzie ich nikt nie słyszy.
I czuję na swych oczach dłonie potępione
co niewiarę i ciemność na dzieci włożyły
i tych, którym starczyło do pół zbrodni siły,
a cały grzech przez wieki niosą na ramionach.
A ja spośród ciemności. O ja nie człowiekiem,
ja tylko głosem bożym zbawionym od piekieł,
któremu, — odciętemu od ust wzdętych nieba
czynów boskich nie stało, a ludzkich nie trzeba.



* * *

*"Powiadam wam, kto zgorszy jednego z tych
maluczkich nie wejdzie do Królestwa Niebieskiego"*

Świat — kryształowa kula, gdzie ogromne raki
poruszają wąsami zwiększone przez szkło,
gdzie burze naprężone twarde runo trą
o mleczne bramy, a gwiazdy jak ptaki
spadają; zanim spojrzysz już dotknęły czasu
i dźwięcząc przygniatają ramiona atlasów.

A te barw kawalkady jak palety morza
rozwierające obraz — liście wieków wstecz,
a ten anioł o świcie, który kładzie miecz,
co się widzącym zdaje jako pożar
i co oślepia czasem, a czasem gna w ogień
tabuny dusz rozgrzanych, nim się staną Bogiem.

A te lwy niewidoczne o ślepiach jak waga,
które unoszą czyny pomieszane snem
i z rzek człowieczych — czarno gorejącą krę,
aż oczyszczony płomień staje się i naga
prawda jak słup dogóry uderza i łamie
skamieniałe niebiosa na światło i kamień.

I po nocach ogniska co z wysoka są
jak anielskie pochody wskazujących rąk,
a z bliska trzaskiem polan i chlebem człowieczym,
lub przeciw szukającym jak strzegące miecze

małej sprawy i małych, pokurczonych oblicz,
które wokoło stoją tym ogniom podobne.

A ty gdzie stoisz? Czy cię w kos ukropów
wrzących w kadziach sklepienia złote grzywy niosą,
czy w dole zaplątany w motowiska włosów,
czy śliskich wodorostów dudniących potopów?
Czy może geniusz srebrny o dłoniach co światłem
niesie cię między czasem i jego zwierciadłem?

O koro ludzka, że Bóg w tobie począł
nic to. Bóg w siódmym dniu stworzenia spoczął,
a ty czym jesteś w ziemi wznoszący kolumny
ty cieślo boskiej myśli, cieślo nierozumny?
Że duch był i że w tobie — to nie w dłoni twojej,
która jest jeno martwym ducha niepokojem.
Jeśli ręka niezdarna tak ufna jest sobie
o niechże choć postawi krzyż na swoim grobie.

O ty któremu dano żyć. Cóż więcej można
dłoń boska zbyt rozrzutna jeszcze, nieostrożna,
że jeden kwiat ty pojąć możesz, a swą żądzą
potrafisz zabić tysiąc tych co jak ty błędzą.
Dłoń boska zbyt ci hojna jeśli ten kwiat dała,
a na pojęcie blasku jego ręka twa zamała
jeśliś zapomniał głosu, głosu rozpoznania
i jeśliś nie przypomniał, żeś jest snem czekania.
Ty cieślo boskiej myśli, co gdy już nie umiesz
być choć patrzącym na ogień i blask
czynisz braci na obraz wypalonych miast,
aby, jeśli być marnym musisz — to choć w tłumie.
Ty kiedyś już przegniły strąk wielkiego drzewa,

kiedyś pominął napomnienia głos
ślepe szczenięta ludzkie prowadzisz na stos,
aby pokazać im jak Bóg się gniewa,
a pokazujesz przejrzysty łuk blasku
pokryty twoją dłonią – chimerami z piasku,
a rączki szukające napełniasz swą smołą,
by z nich nie wypadł miecz i biały gołąb.

Ale z nich są anioły mściciele, co głosy
takie w górę uniosą, że zbieleją włosy,
i nim w topór z ołowiu zmieniają się i runą
będą oczom podobne boskim – stu-piorunom,
będą wtedy krążące, pozbierane z ust,
z ust skarżących jak płomień i ognisty nóż,
a maluczcy, co niosą krzyż zwalony na nich
wstaną w blasku. A straszne będzie zmartwychwstanie,
Wstaną w Bogu. A straszny będzie ten czas kary,
kiedy kora bez duszy wybuchnie pożarem
i pozostanie popiół, jeno garść popiołu
jako ślad tych co skradli lok złoty – aniołom.



Informacje o licencjach

Utwór „W żalu najczystszym” autorstwa Krzysztofa Kamila Baczyńskiego jest własnością publiczną, ponieważ prawa majątkowe do niego wygasły.

E-book „Józef Czechowicz – Nic więcej” jako opracowanie informatyczne jest udostępniany przez Exerim.pl na licencji [Creative Commons 4.0: uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne, na tych samych warunkach](#).

W niniejszym opracowaniu wykorzystano:

1. Na okładce: zdjęcie autorstwa Justyny Diablicy, udostępnione przez autorkę na potrzeby opracowania.
2. W tekście: czcionkę „Lato” autorstwa Łukasza Dziejica, udostępnianą na licencji [SIL Open Font License, Version 1.1](#).
3. Autorskie ilustracje Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, którymi ozdobione było pierwsze, rękopiśmienne wydanie.

Strona redakcyjna

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki [Exerim.pl](http://exerim.pl).



Darmowe e-booki: <http://exerim.pl/ebook/>.